

Sylwia Grygorowicz – wyróżnienie

Homeland, warsztat Akademia Teatralna w Białymstoku

Na spektakl trafiłam 9 marca właściwym sobie sposobem, czyli przypadkiem. Z błędnego snu nad podręcznikiem obudziłam się o 18.50 i stwierdziłam, że, o ile mnie pamięć nie myli, o 20.00 będzie się coś działo w Akademii Teatralnej. Górą spontaniczność – pojechałam.

To „coś” nie było jednak zwykłym „czymś”; zapowiadało się bowiem na tyle ciekawie, że zdołało wygonić mnie w mroźny wieczór z domu. Grupa aktorów z różnych krajów (Polska, Włochy, Holandia, Łotwa, Izrael) przygotowała, pod opieką Wojciecha Kobrzyńskiego, przedstawienie pt.: Homeland. „Ojczyzna”. Intrygujące. Raz, że byłam diabło ciekawa, jak międzynarodowa grupa poradziła sobie z problemem języka, nader przecież istotnym w teatrze; dwa, że skusił mnie rys egzotyki – choć rozum podpowiadał, że w innych częściach świata aktorzy grają podobnie jak w Polsce, to jednak cień niewiary pozostał, granica przecież i to, co jest za nią, kojarzą się z obcością i zupełnie innymi zasadami. Kiedy siedziałam na widowni razem z innymi pasjonatami, wiązałam z tym spektaklem całkiem duże nadzieje, wydawało mi się, że to będzie coś naprawdę godnego uwagi – i się nie omyliłam.

W warstwie akcji rzecz jest prosta – przez zabawę klockami ukazuje mechanizmy rządzące tworzeniem i funkcjonowaniem ojczyzny. Na początku ludzie chodzą wkoło szklanego stołu. Nie znamy ich z imienia i nazwiska; sztuka dzieje się, jak w średniowiecznym moralitecie, w nieokreślonym czasie i przestrzeni, a bohaterem może być każdy. Ruchy postaci są wyuczony, mechaniczne, nie widzą ani siebie nawzajem, ani mebla, patrzą martwo do przodu. Dopiero po jakimś czasie zauważają stół. Zaczynają go poznawać, dotykać, przyglądać się, chodzić koło niego, wlaźć pod i na – po prostu oswajać. Potem na szklanej powierzchni pojawiają się klocki – każdemu aktorowi przypisany jest inny kolor. Powstaje różnokolorowa budowla. Na tym się jednak nie kończy – chwilę później grupa odkrywa, że stół można rozsunąć, utworzyć nie różnokolorową mozaikę, ale jednokolorowy własny świat. I choć każdy próbuje sam coś stworzyć, nikomu to się nie udaje, muszą do siebie wrócić i na nowo złączyć cztery części. Każdy musi poznać wszystkie klocki – aktorzy przyglądają się im, oświetlając je małymi, kolorowymi latarenkami i wtedy okazuje się, że kolor klocka zależy od światła ich lampek, jest pojęciem jak najbardziej względnym. Powracają do budowy, tym razem jednak układanka nie powstaje na powierzchni – klocki wypełniają wnętrze przemyślnie skonstruowanego stołu. Jeśli chodzi o wykonanie, to drażniła mnie niezmiernie muzyka – jest dla mnie ona w teatrze szczególnie ważna, pozwala mi bowiem głębiej wniknąć w sztukę. Do tematu tworzenia czegokolwiek widział mi się podkład muzyczny tak monumentalny jak na przykład „Chariots of Fire” Vangelisa; coś rozbudowanego, zawierającego w sobie wiele ścieżek myślowych, skojarzeń; coś, co zawładnęłoby moją wyobraźnią. Tymczasem „ścieżka dźwiękowa” wyglądała inaczej: podkład muzyczny stanowiły proste dźwięki, dysharmonijne, gdy coś zagrażało tworzonemu dziełu, niekiedy łagodne czy narastające, a w chwilach odkrywania jakiejś prawdy gasnące zupełnie. Takie muzyczne gaworzenie irytowało mnie na początku strasznie, dopiero potem dostrzegłam, jak bardzo jest ono zgrane z treścią sztuki.

Nieskomplikowane, nieskoordynowane momentami dźwięki wzmocniały wizję narodzin – w świecie tego spektaklu nawet muzyka powstawała od nowa, zaczynała od najprostszych elementów; przywodziła na myśl dawne, pamiętane jak przez mgłę lata dzieciństwa; muzyka nie wielkiego wznoszenia się, ale cichego wyłaniania się z mroku.

Z barierą języka poradzono sobie przewidywalnie – aktorzy mówili gestami, własnym ciałem; mowa pojawiała się jedynie wtedy, gdy postacie budowały własny świat z własnych klocków, na własnej ćwiartce stołu. Każdy opowiadał wtedy w swoim języku, co właśnie tworzy, co stoi na jego ćwiartce – mój dom, moi bliscy, moje niebo, moje kwiaty, wszyscy ludzie których mam... Wyliczanka stawała się coraz głośniejsza, pod koniec przeradzała się w krzyk, sygnalizujący odrębność każdego; i choć nie znam włoskiego czy łotewskiego, rozumiałam tych ludzi bez problemu. Scena owa wywierała naprawdę duże wrażenie,

ukazując uciekanie we własny świat i desperackie wręcz zamykanie oczu na to, co jest dookoła; z pozornej trudności uczyniono spory atut.

Gra aktorów ogólnie zresztą zasługuje na uznanie. Podejmując temat tworzenia, pokazali, że oni też umieją tworzyć – ojczyzna rodziła się nie tylko w kategoriach stołu i klocków. W toku przedstawienia artyści przybliżali się do siebie, topniały lody, zacierały się różnice – na początku totalnie sobie obcy, na końcu wydawali się wspólnotą, której proces tworzenia obserwowało się przez całą sztukę.

Na koniec wspomnę o jednej rzeczy, która mnie szczególnie poruszyła. Czytałam wielokrotnie, jak to Świnarski czy Grzegorzewski wychodzili do publiczności, wciągali ją w akcję sceniczną, czynili widza równoprawnym członkiem przedstawienia – taki sam zabieg, ku mojej niespożytej radości, zastosowano w Homelandzie. Kiedy już bowiem ojczyzna stanęła zbudowana, aktorzy wyszli do ludzi. Każdy wręczył jakiemuś widzowi mały klocek, wypchnął delikatnie na scenę, nad stół, wypełniony klockami, a jednym z tych widzów byłam ja. I teraz ja, teraz my zaczynaliśmy od nowa budować ojczyznę, nowe pokolenie przyszło na utworzony fundament, wpisywało się w jego historię. Proces trwał dalej – ja zaś miałam wrażenie, że między widzami i aktorami zawiązała się właśnie owa jedność, o którą w teatrze chodzi, a która zdarza się niezmiernie rzadko. Piękne to było przeżycie – z zalem opuszczałam budynek Akademii Teatralnej, a stojąc na przystanku, uśmiechałam się do ludzi; doznałam swoistego katharsis, oderwania się od codziennych spraw. I chyba ten końcowy epizod zaważył na moim stosunku do sztuki.

Homeland nie jest widowiskiem ciężkim – w prosty sposób opowiada o prostych sprawach; po głębszej refleksji jednak odczuwamy powagę problematyki – rzecz prosta wcale nie oznacza rzeczy błahej. I to może właśnie być bolączką naszego świata, który w skomplikowanym natłoku zapomina o rzeczach najprostszych a elementarnych, określających fundament człowieka, świata, który rzuca się na budowanie wspaniałych konstrukcji, a zapomina o fundamencie.